Nr. 52. We Lwowie, Poniedziałek dnia 29. grudnia 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Paryska.

w grudniu 1890.

(Teatr Wolny. — Cyrk Honoryusza. — Debiut młodego Coquelina. — Sarcey przed sądem. — Renan i Goncourt).

„Wolny Teatr" pod dyrekcją pana Antoine, przedsięwziął sobie rozśmieszać publikę, i dopiął z pewnością tego celu, dając szkic dramatyczny obyczajów paryzkich, przez wesołego Aureliana Scholl'a skreślony, p. t. „Kochanek własnej żony". Treść jest ta, że zdradzony przez swą połowicę małżonek, spostrzegłszy zdradę i załatwiwszy w oczach świata swój honor przez pojedynek z rywalem, miasto rozpoczęcia kroków rozwodowych umyślił sobie odzyskać przywiązanie swej żony sposobami i zabiegami przez kochanków praktykowanemi. Udaje mu się to w końcu. lubo z wielką trudnością, i po przejściach najnieprawdopodobniejszych, lecz zabawnych. Wyrób co się zwie paryzki i bulwarowy. Dyrektor „Wolnego Teatru" przyjął sztukę z najskwapliwszą chęcią, wymówiwszy sobie jedynie kilka wykreśleń w miejscach zbyt swawolnych." Rachuje się na liczny i długotrwały napływ ciekawych i śmiechu łaknących. Ma się rozumieć, że na takie przedstawienia młodych panien się nie prowadzi.

Cyrk Śgo Honoryusza bardzo dobrze stoi: umiał on zawsze zdobyć się na nowości, które też doń zawsze w ogromnej liczbie publiczność zwabiają. Proszę sobie wyobrazić arenę, zamienioną niespodzianie w jezioro, na którem wynurzają się wysepki, i łodzie żegluja tam, gdzie dopiero co konie biegały! Więc też zbiega się na te dziwy wszystek Paryż. Najbliższe przedstawienie okaże nam „przegląd ubiegającego roku", rzecz niby oklepaną i w każdym teatrze z końcem roku urządzaną; koncept jednak w tem, że przegląd ma się konno przedstawiać; co nikomu jeszcze do głowy nie przyszło. Odbędzie się to między tak zwanym chińskim pawilonem a wjazdem do Bulońskiego Lasku; tam to wjedzie na rydwanie w kwiaty przybranym panna Betsy; obok rydwanu murzyn Czekolada, jako mastalerz Zaraz przybywają tamże na przechadzkę: imci Pataques i jego przyjaciel święty Gardeniusz. Na wezwanie panny Betsy puszczają się oni galopem naokoło Lasku Bulońskiego, ażeby sprowadzić przed jej oblicze wszystkie osoby, które się w ciągu roku uwydatniły. Aż tu zjawia się strażnik leśny, który chce przyaresztować pannę Betsy pod pretekstem, że jest „współtowarzyszką" komedji francuzkiej (przytyk do uwięzienia pewnej aktorki, „współtowarzyszki" pierwszej trupy paryzkiej za obrazę obyczajności przed magazynami Luwru); a zaraz potem dwaj zawzięci przeciw sobie bulanżyści — Laguerre i Déroulede — występują na scenę i pojedynkują się; następnie zaś przedstawioną jest manifestacja polityczna, przerwana przez konnego gwardzistę municypalnego, przeskakującego przez stół, przy którym siedzą i rozprawiają manifestanci. Wszystko to arcyzgrabnie udane. Dalej mamy sparodjowane przedstawienie festynów gimnastycznych szkolnych, syna marnotrawnego, galernika uwolnionego, i inne rozmaite wypadków roku bieżącego prypomnienia, czyli raczej przedrzeźniania, najuciesznieiszymi zaprawne konceptami. Albo naprzykład wielki pochód Kleopatry, wybierającej się do Nowego Jorku z cygańską muzyką, od której aż uszy pękają. Ostatnia reprezentacja przed wyjazdem! Proszę spojrzeć na Marka Antoniusza: figura nie do opisania! A murzyn Czekolada przeobrażony w Kephren'a eunucha! Pani Kleopatra rozsiada się na kanapie w stylu cesarstwa, a kąsa ją wąż, mający piętnaście stóp długości. Smalone duby, ale śmieszą. Przegląd kończy się procesją konnych amazonek. Widzimy tu defiladę, przedstawiającą mody ubiorów damskich do konnej jazdy od początku stulecia zacząwszy. Więc amazonki z pierwszego cesarstwa w niskich kapelusikach, a z wysokimi kołnierzami; asystują im gidowie (podchorążowie sztabowi); amazonki z czasu restauracji z zielonemi woalkami; amazonki z czasu Ludwika Filipa w zielonych sukniach barwy szpinaku: nareszcie amazonki „końca stulecia", siedzące na koniu po męzku, w szarym kapelusiku, w paltociku orzechowym i długich bucikach marszczonych.

W Teatrze francuzkim odbyła się swojego rodzaju uroczystość: Coquelin, wielki Coquelin przedstawiał publice swojego syna. Wszystek „dom" się zgromadził: t. j. wszyscy „współtowarzysze" komedji francuzkiej, nazywającej się „Domem Moliera", zebrała się publika stałych bywalców, i tłum literatów, każdej uczty duchownej żądnych. Oklaskując ojca od lat trzydziestu wyglądano z ciekawością pierwszego występu syna. Wysadzono się też, ile sił starczyło; najprzedniejsi artyści, a w ich liczbie sam Coquelin ojciec, postarali się ten popis uwydatnić.

Odegrane zostały Molierowskie „Gniewy miłosne (le depit amoureux), i w pierwszej zaraz scenie okazało się, że syn godnym jest swego ojca. Taka sama pewność siebie, takie same brzmienie głosu, taka sama postawa. W dwudziestym roku życia posiadł on już umiejętność i biegłość starego aktora. To też klaskano mu z zapałem, a szczególniej przy takich ustępach i zdaniach w sztuce, które ilebądź o wczesny talent potrącały. Wielkie więc tradycje klasyczne teatru francuzkiego nie tak prędko zamrą; w oso-

bie młodego Coquelin'a mamy oto nową siłę, nie ustępującą ojcu i stryjowi. On i młody Dehelly — ten ostatni istna niespodzianka — oto dwie świeże gwiazdy na widowni, która prócz nich tyle innych świeżych posiada.

Wielki Sarcey potentat tutejszej krytyki teatralnej, postrach autorów i artystów, doczekał się na stare lata nie bardzo przyjemnej niespodzianki noworocznej. Oto w dniu pierwszego stycznia r. p. o godzinie ósmej rano wręczonym mu zostanie ze strony Henryka Becque'a autora „Paryżanki", pozew przed trybunał cywilny Sekwany z przyczyny, jakbyśmy się wyrazili, zabicia powyższej sztuki przez jeden z artykułów Sarceya.

Artykuł o którym mowa, pojawił się w *Temps* z poniedziałku d. 17 listopada. Proces wytoczono na zasadzie §. 1282 kod. cyw.; brzmi on: „Każdy czyn człowieka, przynoszący bliźniemu szkodę, obowiązuje pierwszego do zadośćuczynienia"

Właściwe źródło sprawy odnieść należy do odleglejszego nieco czasu.

Ongi Sarcey, który, jak dowcipnie a złośliwie utrzymuje Albin Valabregue, należy do zwolenników zasady, iż komedja francuzka winna być Pere-Lachaise'em repertuaru i senatem głośnych autorów, broń Boże jednak izbą deputowanych, dopuszczającą wszelkie opinje, Sarcey zatem ongi, w niezgodzie będąc chwilowo z dzielnym dramaturgiem, autorem „Kruków", występował często przeciw niemu, traktując go nie jako samodzielnego, za dzieła swoje odpowiadającego artystę, ale jak krnąbrnego ucznia. Becque'a dotknięty do żywego, w jednym z artykułów swoich, w przedmowie mianowicie do „*Premières illustrées*", odpowiedział krytykowi słowami pełnemi oburzenia i wzgardy.

— Niewdzięczny — zawołał na to w najbliższym fejletonie swoim Sarcey — za moją to przecie sprawą „Paryżankę" wystawić ma teatr francuzki.

A gdy sztukę wystawiono, obrażony krytyk przyznał się publicznie, iż dlatego przemawiał za wystawieniem jej, aby być świadkiem jej upadku. Wspaniałe!...

W procesie Becque'a dwa żywotne przyjdą pod rozstrzygnięcie pytania:

Primo: ażali krytyk ma prawo środkami podstępnemi a przewrotnemi uprzedzać opinję publiczną na niekorzyść sztuki — i.

Secundo: a pytanie to wielce delikatne i dotyczy bezpośrednio kwestji niezależności krytyki: dlaczego mianowicie Sarcey, który kilkakrotnie „Paryżankę" mianował arcydziełem wyparł się następnie swego zdania.

Becque nadto zamierza rozprawy, na ogólniejsze, szersze wyprowadzić tory. Utrzymuje on że już zbyt długo panuje nad artystami, myślicielami, twórcami wszechpotęga Sarceya, którego talent czerpie się dziś tylko w drodze przedawnienia.

Kilkakrotnie do tej pory autorowie, zwłaszcza młodsi, zamierzali pretensje swoje do krytyka przed kratki przenieść sądowe; zamierzał uczynić to Leon Hennique, którego sztukę „Amor" Sarcey okropnie zmaltretował; z myślą tą nosił się i Acirad w odpowiedzi na artykuł Sarceya o „Ojcu Lebonnard" w ostatniej jednak chwili zabrakło im odwagi. Obecnie wymowny a sprytny obrońca Becque'a, adwokat Tezenas zamiary powyżej wymienionych autorów, niedoszłe do skutku, wprowadzi jako argumenty do swojej obrony. Becque, zamierzając rzecz wyczerpać do dna zażądał w redakcji całego zbioru artykułów Sarceya.

— Nie chciałbym ich płacić na wagę — rzekł przytem — za drogo by mi wypadły.

Czy Renan powiedział rzecz brzydką, którą mu przepisuje Goncourt w swoim „Dzienniku", czy nie powiedział? Oto kwestja, którą usiłują rozstrzygnąć teraz ci i owi, a która, jak się zdaje w sposób twierdzący musi być rozstrzygnięta.

Ale co powiedział Renan? Oto słowa, jakie spotykamy w „Dzienniku„ Goncourtów, obecnie ogłoszonym przez firmę Charpentier z roku 1871 podczas oblężenia Paryża, kiedy Renan i Goncourt i jeszcze kilka osób schodzili się razem do Brébanta na obiady i oddawali poobiednej, jak to zwykle bywa, gawędce.

„Była mowa o przymiotach i wadach Niemców"

„Renan podniósł głowę i rzekł:

— „We wszystkiem, czego się nie dotknąłem, co studjowałem, byłem zawsze zdumiony wyższością inteligencji i pracy niemieckiej. Nic też dziwnego, że w sztuce wojennej, która jakkolwiek niższego jest porządku, ale zawsze jest skomplikowana, dosięgli Niemcy tej wyższości, którą konstatuję wszędzie, powtarzam wszędzie, o ile mi jest wiadomo... Tak, panowie, Niemcy należą do rasy wyższej od nas.

— „Oho, oho! — zawołano chórem.

— „Tak jest, panowie, powtarzam, że stanowią oni rasę o wiele wyższą od naszej — dodał Renan z ożywieniem. Katolicyzm jest kretynizacją jednostki. Edukacja w zakładach jezuickich tamuje polot wyższych zdolności kiedy prestantyzm tymczasem się rozwija".

Tyle miał powiedzieć Renan, wedle Goncourtów w roku 1871, podczas oblężenia Paryża.

Ale frazes wypowiedziany w chwili, kiedy Niemcy byli na karku, może nawet wygodny i praktyczny ze względu na możliwe ewentualności, djablo zrobił się niewygodnym w roku Pańskim 1890, kiedy Niemcy są daleko, a przechwałki francuzkie przechodzą miarę. Więc też Renan pospiesznie zaprzecza w dziennikach pierwszej połowie zwłaszcza swojej oracji, nie cofając rozumie się drugiej, bo z tą bardzo mu nawet do twarzy.

Jednakowoż naiwnym byłby, ktoby zaprzeczenie to za dobrą przyjął monetę. Jak druga połowa jego oracji przypada najzupełniej do tego umysłu przejętego zawiścią ku katolicyzmowi, tak i pierwsza licuje z nim bardzo, jak to zaraz zobaczymy. Zresztą kto jak Goncourtowie prowadzili systematyczny dziennik i spisuje wszystko pod wrażeniem chwili, ten stenografuje niejako to, co słyszał. Rzecz zaś zbyt była prosta, a niezwykła, żeby taki Goncourt popełnić mógł omyłkę. Pomimo więc zaprzeczenia ze strony Renana, wierzyć trzeba dziennikowi Goncourtów i to najzupełniej zachowując rozprawę z autorem „Żywota Jezusa" co do drugiej połowy jego wynurzenia do chwili, w której, co daj Boże, stanie się ona dla Renana tak niewygodną, jak dziś pierwsza.

Gdybym miał wątpliwość jakąkolwiek co do tego wyprowadziły mię z niej Cassagnac, który powiada, że całe to wynurzenie godzi się zupełnie z naturą skwaszonego i chorobliwego umysłu Renana, oraz jego zaciętą nienawiścią w obec katolicyzmu.

Na Rozdrożu.

(D J A L O G).

(Dokończenie).

Jest to przekleństwo wszystkich niezdecydowanych położeń i charakterów; znaczy to zależeć od łaski rozigranych nerwów, nie znajdując oparcia w rozluźnionych władzach moralnych których właściwie nie ma, bo ich miejsce zajęły dobre chęci, złe żądze, porywy chwili, bezustanne iluzje i rozczarowanie kiedy najlepsze postanowienie jest na łasce przelotnego wrażenia, kiedy ster losu trzyma w swem ręku król podobnego życia: przypadek!

— Stałość zasad i ciągłość pracy nie dadzą się rzeczywiście pogodzić z nerwozą. Dlatego przyszły historyk obyczajów i prądów naszej epoki stania wobec tylu niepochwytnych i lotnych objawów współczesnego życia moralnego i umysłowego, objawów zależnych od gorączki chwili i nastroju, albo raczej rozstroju nerwów. Cenne dokumenta dla wskrzeszenia tego życia znajdzie on chyba w feljetonie, tak dokładnie odbijającym naszą pogoń za złotem, uciechą, wrażeniem, słowem, wszystkiemi ranami, które mieniły szczęściem. Tak, wiek nasz, to wiek feljetonu. Ogół czyta tylko książki napisane z lekkością i elegancją feljetonu; mówca dobiera zwrotów krótkich, subtelnych, także feljetonowych, słowem strawę umysłową najchętniej spożywa dziś każdy w przyprawie feljetonowej..

— Stosuje się to szczególniej do nas, kobiet. Gdyby nawet cnota chciała nas kokietować, musiałaby być przedewszystkiem strojną i dowcipną.

— O, niezawodnie. Dlatego też studjujący obyczaje, najwięcej trudności znajdzie w ujęciu stałej treści współczesnego typu nerwowej kobiety. Jakże trudną jest ta lotna substancja do skrystalizowania! Mężczyzna, pomimo swego sceptyzmu, jeśli stoi na pewnym stopniu inteligencji, będzie o tyle łatwiejszym do ujęcia, że jego upodobania, przekonania lub niewiara umysłowa będą tą cechą naczelną, z której się dadzą wyprowadzić wszystkie inne. Z mniejszą pewnością można to przypuszczenie postawić o kobiecie. Sympatje lub kaprys przelotny zwyciężają w niej zawsze stałą zasadę, której najczęściej zresztą wcale nie ma. I nigdy prawie zawczasu obliczyć się nie dadzą.

— Jak powodzenie nowej komedji lub operetki.. nieprawda?

— I jak przyszłość wykolejonej kobiety, którą na chwilę — że pozwolę sobie na to wyrażenie, nie licujące z treścią naszej rozmowy — skokietowała cnota.

— To ma znaczyć, że pan ostatecznie zwątpił o mnie?

— Ostatecznie nie wątpię o niczem, lecz również trudno mi o złudzenia. Chcę tylko dojrzeć punkt, na ktorymby mogła spocząć ta nowa troskliwsza organizacfa moralna pani. Obawiamy się bowiem oboje, co pani przed chwilą tak dobrze zaznaczyła, że najlepsze postanowienie, powzięte rano, znika wieczorem, bo było tylko chwilowym efektem moralnym, również sztucznym, jak fekt teatralny, pod naciskiem którego pękło. Ludzie nadmiernie wrażliwi żyją właśnie w sferze takich efektów. Przeskakują z jednej ostateczności w inną, bez żadnego faktycznego usprawiedliwienia. Temperament i teatr sprawiają, że myśl pani nietylko w złudzeniu teatralnem, ale i na jawie, krąży teraz w sferze wesołej operetki, aby za chwilę znaleźć się w dziedzinie krwawej beznadziei tragedji. Na choroby i kryzysy moralne nie znam radykalnych lekarstw. Niczego zatem nie zalecam pani z powagą lekarza-pedanta, bo nienawidzę ani powagi ani pedantyzmu. Zapewniam tylko, że z najwyższem współczuciem i gotowością do usług będę śledził dalszą walkę pani z własnemi wadami, zwyczajami, sercem i wyobraźnią i że moje bardzo wystygłe serce gorąco uwierzy w tę arkę moralną która zbawi panią...

— A którą, ufam, będzie miłość macierzyńska.

Bez niego...

Godzina czwarta po południu.

W grudniu — to prawie już wieczór...

Mrok już zaczyna rozsnuwać szary welon po dachach iskrzących szronem; słońce wcale nie wschodziło, więc nie potrzebuje fatygować się do zachodu, — a raczej, może odbywać ranną i wieczorną toaletę incognito, bez świadków, za parawanem z chmur ołowianych..

W wystawach sklepowych mrugają drobne płomyki gazowe, jak gdyby szepcząc kuszą so na wrażliwego przechodnia:

— Chodźno tu mój stary! popatrz na te wszystkie śliczności rozłożone w oknie, — może co sobie wybierzesz do gustu.

A okazałe lampy błyskawiczne — niby pełna uśmiechnięta twarz gosposi, śmiało rzucają ci w oczy blask jasny i zdają się śmiać wesoło z twojej naiwności.

Na chodnikach mijają się tłumy.

Każdy się spieszy, dźwigając w ręku paczki rozmaitej wielkości i kształtu, w których najpewniej podejrzywać można ciasta, bakalje i tym podobne dobre rzeczy.

Ten imponuje fijoletowym nosem, tamten odstającemi szkarłatnemi uszami, inny oczami wytrzeszczonemi z mrozu i pospiechu.

Wśród wytwornych pań i eleganckich panów przemykają zziajani posłańcy z koszami w ręku, z których ponętne wychylają główki różne Chartreusy, Bordeau, Chateau Yquem, Lafitte i t. d.

Przedmiot marzeń i zachwytów maleńkich serdusz k „Podarunki na gwiazdę“ uśmiechają się z każdej witryny, przyciągając pałające wejrzenia wielkich z radości i oczekiwania oczu, które strzelają ku nim z pod futrzanych czapek

albo pluszowych kapotek Władziów, Witków Halinek.

Czasem z boku, nieśmiało i smutnie wpatruje się w nie z zachwytem dziecię, odziane w łachmany prawie bose i drżące z zimna i czczości... co nigdy w chudej dłoni nie trzymało tych cudów, nigdy się zbliska i spokojnie przyjrzeć im nie może...

Cukiernie i sklepy z wystawą lalek w jaskrawych strojach ludowych najwięcej mają amatorów. Malcy odziani w płaszcze i czapki uczniowskie z powagą admirują łyżwy, sprzeczając się uroczyście, które z nich lepsze: angielki czy amerykanki? Potem przechodzą do wystaw księgarskich, dzieląc się na stronnictwa: Mayne-Reid'a i Verne'go.

W saskim ogrodzie nad sadzawką, którą okrywa szklista powłoka lodu blady księżyc melancholijnie spogląda na gorączkowy ruch istot ludzkich i na czarne sylwetki drzew, wyraziście rysujące się na blado-różowych smugach liljowego nieba.

Każda gałązka lśni brylantami szronu, który gwiazdkami djamentowemi spada bez szelestu na biały kobierzec ziemi z za najlżejszem poruszeniem ptasiej nóżki.

Bo na gałązkach ruch wielki zaniepokojonych wróbli, które wśród mrozu i chłodu, ani wiedząc o uroczystości chwili, tulą się do siebie strwożone i smutne cichym szczebiotem opowiadając sobie o troskach, a może śląc pod niebiosa hymny wieczorne...

Jeszcze dla doświadczonych — to fraszka. Ale młodzież, którą zaskoczyła niespodzianie pierwsza w życiu zima... Osłupiała, pełna goryczy i żalu, wspominając miły cień miękkich listeczków, słonko wesołe — i swoje dzieciństwo bez troski...

Ulicą koło sadzawki szła młoda kobieta w czerni, prowadząc za rękę małego chłopczynę.

Niosła w ręku paczkę, ale nie znać było pospiechu w jej zmęczonych ruchach; dziecię drobnemi kroczkami drepcząc obok matki, szczebiotało bez ustanku.

— Gdzie my idziemy, mamusiu?

— Do domu synku.

— Już do domu?... A nie kupiłaś jeszcze przecież cukierków, pierników, ani orzechów. Czem ubierzemy choinę?...

Mama milczała.

— Przecież to dzisiaj wigilja! prawda mamo, dzisiaj? — pytało dalej niezrażone maleństwo.

— Tak duszeńko, dzisiaj... — westchnęła młoda kobieta.

— A kiedy będą się piekły strucelki, placki z dużemi rodzynkami i babki?...

— Nie będą się wcale piekły.

— To i ja także nie będę miał swojej malutkiej strucelki? nie będę miał, mamo?... — zapytał markotnie chłopczyna, pociągając matkę za okrycie, aby wywołać odpowiedź.

— Nie kochanie...

— Dlaczego?... przecież byłem grzeczny!

— Byłeś grzeczny, moja pieszczoto, ale my nie mamy już teraz na takie rzeczy, odkąd tatka u Bozi...

Chłopczyk smutnie zwiesił główkę.

— Prawda... szepnął cichutko i bezwiednie przytulił twarzyczkę do dłoni matczynej.

Wyszli na Niecałą i mijali właśnie cukiernię, w której oknie staruszek z siwą brodą, osypany szronem z cukru, dźwigał na ramieniu prześliczną choinkę i uśmiechał się wesoło; dokoła niego stały koszyczki z ptaszkami w gniazdkach króliki z żywemi oczkami, bociany dźwigające w czerwonych dzióbach małe dzieci w poduszkach.

Dziecię zwolniło kroku, nie mając siły odejść od tych śliczności bez obejrzenia wszystkiego... kiedyś dostawał takie zabawki.

Już otwierał buzię, aby zawołać z głębi serca

— Kup mi co mamusiu!

Ale spojrzawszy na smutną twarz matki, zamilkł onieśmielony.

Przyszli wreszcie do domu.

Młoda kobieta otworzyła drzwi małego mieszkanka w oficynie i zapaliwszy lampę, zebrała siebie i dziecko z okrycia.

Drzwi do drugiego pokoju były zamknięte ze względu na maleńką skromniutkę choinkę, jaka czekała swojej kolei.

Stefcio cichutko, żeby mamie nie przeszkadzać usiadł w kąciku pod oknem i zaczął przeglądać książkę z obrazkami.

Mama tymczasem krzątała się około zastawienia uczty wigilijnej; nakryła stół białym obrusem, w pośrodku postawiła talerz z opłatkami i wreszcie podała postne potrawy z piecyka: zupę z ryby, kilka kawałków szczupaka, gorące kartofle i pieczone jabłuszko dla Stefcia.

Nie takie dawniej robiła przygotowania...

Jeszcze w przeszłym roku, mój Boże! któżby był pomyślał, że poraz ostatni... u suto zastawionego stołu, podścielonego sianem, wśród licznego kółka zaproszonych krewnych, przy boku „jego" jako rozpromieniona i szczęśliwa gosposia i żona.

Po spożyciu uczty rozdawano sobie mnóstwo podarków i zapalono olbrzymi świerk, uginający się pod ciężarem światła i różnych pyszności.. śpiewano kolendy przy fortepianie, tańczono z dziećmi i oddawano się niezamąconej radości.

Jakże była szczęśliwa!...

Ubóstwiała swego pięknego i dobrego Janusza, panując nad sercem jego i myślą bez podziału. Dziecię było przedmiotem ich starań, marzeń i nadziei na przyszłość. Otoczeni dostatkiem, miłością ludzi i atmosferą niezamąconego szczęścia, napawali się rozkoszą istnienia, znając jedynie piękne strony życia.

Ale nispodzianie, jak grom z jasnego nieba upadł cios straszliwy: choroba i śmierć Janusza a z nią utrata bytu.

Cios ten ogłuszył nieprzygotowaną i pełn ufności w litość Boga.

Myśl o dziecięciu wyrwała ją z odrętwienia obroniła od bluznierstwa i powołała na nowo do życia.
